OGNISKO DOMOWE

Bezpłatny dodatek — wychodzi co tydzień.

Rok 4 **CHOJNICE** **Nr. 35**

Ewangelja.

W on czas: gdy szedł Jezus do Jeruzalem, szedł środkiem Samariej i Galilejej. A gdy wchodził do niektórego miasteczka, zabieżeli mu dziesięć mężów trędowatych, którzy stanęli z daleka: i podnieśli głos mówiąc? Jezusie Nauczycielu, zmiłuj się nad nami. Które ujrzawszy, rzekł: idźcie, okażcie się kapłanom. I stało się; gdy szli, byli oczyszczeni. A jeden z nich, gdy obaczył, że był uzdrowion: wrócił się, głosem wielkim chwaląc Boga: i padł na oblicze u nóg jego, dziękując: a ten był Samarytan. A Jezus odpowiedziawszy, rzekł: zaż nie dziesięć jest oczyszczonych? a dziewięć kędy są? nie jest znaleziony, któryby się wrócił, a dał Bogu chwałę, jedno ten cudzoziemiec. I rzekł mu: wstań, idź: bo wiara twoja ciebie uzdrowiła.

Nauka.

Co słyszeliśmy zeszłej niedzieli w przypowieści o samarytaninie i o zranionym człowieku, jaki jest stan każdego z nas ludzi przed poznaniem i po poznaniu Pana Boga, przed przyjęciem wiary, i po jej przyjęciu, toż samo i w dzisiejszej Ewangelji św. o dziesięciu trędowatych, jasnym przykładem wyrażone mamy, a tak oczywiście, że się każdy dopatrzeć łatwo może.

Wszyscyśmy bowiem kiedyś byli tacy jak owi trędowaci, aż przyszedł Ten Błogosławiony Samarytanin Jezus Chrystus, i oczyścił nas z plugactwa onego. A po oczyszczeniu nie wszyscy wdzięcznymi jesteśmy za dobrodziejstwo tak wielkie.

Tych dziesięciu trędowatych, jest figurą całego rodzaju ludzkiego, onym ciężkim trądem pierworodnego grzechu, jeszcze w Adamie swym przodku nędznie zarażonego.

Nadto jeszcze, każdy z tych dziesięciu mężów trędowatych grzech osobliwy znamionuje, jako w obydwóch testamentach dziesięciorakich trędowatych mamy, którzy dla różnych przyczyn trądem zarażeni byli. I tak:

¶ Pierwszy trędowaty, to każdy człowiek pyszny. Mamy tego przykład na onym Ozyaszu królu, który przedtem był szczęśliwym póki od woli Pana Boga nie odstąpił, ale że się w urząd kapłański wdał, i ująwszy kadzielnicę chciał Bogu ofiarować, wnet trądem na ciele został ukarany i do śmierci go nosił, jak w jego historji szerzej jest opisano (2 Paralip. 26).

¶ O miły Boże! iluż dziś takich pysznych Ozyaszów znajduje się na świecie, którzy wydzierają władzę Kościołowi, w rzeczach wiary roztrząsają, krytykują, szydzą, chcieliby ją inną wedle swych namiętności utworzyć. A patrz jak do takich przystaje pierwsza własność trądu, to jest, nadymanie się, i opuchlina skóry. Albowiem i każdy pyszny jest nadętym, a w obliczu Boga jest obmierzłym, jak Dawid prorok mówi: Nie będzie w domu moim mieszkał ten, który pychę czyni (Ps. 100).

Ten trąd przeklęty, ta nieszczęsna pycha jest dwojaka: jedna cielesna, powierzchowna, zasadzająca się na piękności, strojach, zbytkownych potrawach, i próżności; druga duchowna, gdy się kto wywyższa z darów Bożych. Taki cokolwiek dobrego czyni, to sobie przypisuje, nie zaś Panu Bogu.

Te dwa rodzaje pychy, jak i trąd zwyczajny zarażają swym przykładem innych.

¶ Drugi trędowaty, jest każdy łakomy, którego obrazem jest ów Giezy sługa Elizeusza proroka. Ten chciwością pieniędzy uniesiony, biegł za Naamanem książęciem Syryjskim i bez Pana swego woli, zabrał od owego księcia potajemnie dary jakie zdołał. Ale że to ani Bogu, ani prorokowi skrytem być nie mogło, więc nie tylko słowy Pana swego, ale i trądem ukarany został, jak o tem w księgach Królewskich czytać można (4 Król. 5).

Grzech ten ma drugą własność trądu, bo jako chory na tę dolegliwość ciągle doświadcza wielkiego pragnienia i dotkliwego świerzbu, tak i człowiek łakomy, im więcej ma, tem więcej jeszcze pragnie, a nigdy nie może się uspokoić. Nienasycone jest oko łakomego, mówi Mędrzec (Eklez 5). I drugich również on zaraża złym przykładem swoim, wynajdując różne drogi i sposoby, aby kogo oszukać i zdradzić, a swe zbiory pomnożyć. Jak pająk sam się wywnętrza, aby uprząść one bardzo wątłe siatki swoje, tak i łakomy ustawicznie się poci, pracuje nic sobie nie folgując, by też i duszę nadstawić i życie utracić, aby jedno uprządł nędzne siatki swoje, to jest, pieniądze zgromadził, a na to nie baczy, że za lada wiatru powiewem, wszystko to może upaść, co on zgromadził, z wielką pracą swoją. Choćby nawet nic innego takiego łakomca nie spotkało, ze śmiercią wszystko się rozleci, jak prorok mówi: I zasnęli snem swoim, a nic nie naleźli bogacze w rękach swoich (Ps. 75).

Trzeci trędowaty, to każdy nierządny i nieczysty człowiek, przedstawiony w Piśmie św. w onym trędowatym którego Chrystus Pan dotknięciem ręki swojej uzdrowić raczył (Mat. 8).

Temu też przystoi trzecia własność trądu, w którym chory nieprzyjemny swąd z siebie wydaje. Przeto i Pan Bóg w Zakonie był rozkazał trędowatym ludziom, aby mieli usta suknią zatkane, żeby swądem z siebie drugich nie zarażali, to jest, aby słowa wszeteczne i nieuczciwe nierządnych i nieczystych ludzi, nie kaziły innych. Złe bowiem rozmowy, dobre obyczaje psują, naucza św. Paweł. Szkarady tych słów nawet nie nazywa Pismo św. bo: Porubstwo i wszelka nieczystość, niechaj nie będzie ani pomianowane między nami, ostrzega Apostoł, jako świętym przystoi (Efez. 5).

Ten trąd obrzydliwy w naszych opłakanych czasach szczególniej po miastach tak się rozpowszechnił, że rzadki człowiek jest wolnym od niego.

„Idź i czyń!"

(Garść myśli na tle liturgji mszalnej XII niedzieli po Świątkach).

„A któż jest mój bliźni?" Tem pytaniem obłuda faryzeuszowska spodziewała się, że zdoła zagłuszyć wyrzuty sumienia, odzywające się przy samem zetknięciu się z Tym, którego serce „gorejącem jest ogniskiem miłości" (z litanji do Najśw. Serca Jezusowego). I zdawało się faryzeuszowskiej tej duszy, że gdy się ukryje za udawaną nieświadomość, to nadal będzie mógł przed ludźmi obnosić swoją barankową niewinność i umywać od drapieztwa, niesprawiedliwości i cudzołóstwa, dając do zrozumienia, że mu niby niczego nie brakuje do nazwy człowieka, powodującego się w życiu „etyką".

Tymczasem brakowało mu wszystkiego, bo brakowało mu — miłości. W teorji on wprawdzie nie przeczył obowiązkowi miłości, ale skoro tylko sprawa zaczynała schodzić na teren praktyki, w te tropy jął zasłaniać się parawanem niewiadomości co do tego, kto jest jego bliźnim, jak gdyby chciał powiedzieć, że nie wie dokąd skierować swoje wysoce humanitarne uczucia.

Choćby się nie chciało wyszukiwać analogji między przypowieścią ewangeliczną, a „dzisiejszością", to przecież analogje takie siłą rzeczy narzucają się same. Jedna z nich zdaje się polegać na tem, że od czasu do czasu słyszy się jakby echo owego pytania: „A któż jest mój bliźni?"

Zapewne, echo to już nie jest takim zgrzytem żelaza po szkle, bo mamy bądź co bądź nieco wydelikacone czucie — pod wpływem atmosfery chrześcijańskiej, w której się obracamy bezwiednie — byśmy się mogli zdobyć na ten sam cyniczny i brutalny ton, który dźwięczał w owem pytaniu faryzeusza. Ale istota rzeczy, objęta tem pytaniem, jednak jest wciąż aktualna, a objawia się ona w tem, że nieraz nie widzimy, czy nie chcemy widzieć, gdzie leży ów „człowiek niektóry, co zstępował z Jeruzalem do Jerycha i wpadł między zbójców, którzy go też złupili i rany zadawszy odeszli, na poły zmarłego zostawiwszy".

Czy chcemy wiedzieć, gdzie szukać tego nieszczęsnego, gdzie na poły umarły zostawiony jest i czeka naszego samarytańskiego czynu?

Spojrzyjmy, a zobaczymy może zastępy braci, których złupiono, bo zabrano już im skarb najdroższy, wiarę. I rany też zadawszy odeszli, ich, na poły zmarłych zostawiwszy. Czyż bowiem życiem nazwiemy to wegetowanie roślin ludzkich bez światła wiary? Czy za zdrowych mamy uważać tych, co pozbawieni wiary, tego korzenia i fundamentu wszelkiego usprawiedliwienia, jak się wyraża sobór trydenski, są „dziećmi chwiejącemi się i są unoszeni od każdego wiatru nauki przez złość ludzką, przez chytrość na oszukanie błędu" (list do Efezjan 4. 14.).

I nie mając ci biedni bracia nasi własnego zdania, są tą piłką w ręku ciemnych potęg, które niemi podrzucają według swoich bardzo przejrzystych, ale przed oczyma bezkrytycznej naszej braci sprytnie maskowanych celów. I jeżeli tę brać naszą, odszedłszy na pół żywą, zostawimy w ręku owych potęg, wówczas ta brać nasza pozwoli się rzucić nie tylko na pałace sprawiedliwości i na tunele kolei podziemnych, lecz na wszystko, co jej dotąd było drogie, bo wmówią w nią, że to jej wróg. A choć potem, przejrzawszy i strzeźwiawszy i stojąc na zgliszczach i ruinach zburzonych w zaślepieniu wartości, załamywać będą te masy ręce w niewczesnej skrusze i żalu i wstydzie, to kto im potem łzy powróci?

Żeby więc potem łez tych nie miała przelewać ta brać nasza, teraz ona samarytańskiego potrzebuje czynu. A czyn ten objąć winien nie tylko kęs chleba i nie tylko nalanie oliwy i wina w zawiązane rany, ale także wprowadzenie do gospody i wszelaką inną pieczę. Za najważniejszy zaś na dzisiaj przedmiot tej pieczy należy uważać troskę o duszę tej zbłąkanej braci. Oświecać, pouczać, podnosić, opiekować się i zbliżyć do niej, wyrwać z jej duszy jad nienawiści i podejrzliwego niedowierzania, oto zaiste królewski problem samarytańskiego na dzisiaj czynu.

Idź więc człowiecze wszelaki i czyń!

X. Dr. Jan Korzonkiewicz.

GŁOWA ŚWIĘTEJ BARBARY.

POWIEŚĆ Z PRZESZŁOŚCI POMORZA

NAPISAŁ X. KUJOT.

(Ciąg dalszy)

— Do Świecia o pomoc jeżeli możesz starcze, wyślij kogo, — wrzasnął do Dargosława, broniąc się od razów młodego rycerza, który na niego ostro nacierał.

— Dopiero posłałem; służebna wojewodziny poszła tajnym gankiem, tu się rodziła, zna drogę, może dojdzie, — szepnął urywkowo Dargosław.

W tem odezwał się od Wisły przeraźliwy krzyk niewieści.

Dargosław jęknął. — Źle, ona wpadła w zasadzkę. Pewnie ją zabiją, bo wyjścia ganku nie chce wydać. Cofnij się do komnat, to ostatnia nadzieja.—

Ramota rzucił okiem po dziedzińcu. Ledwie dziesięć Pomorzanów stało jeszcze, a każdy zlany potem i chwiejący się z wytężenia. Tu już wszystko było stracone. — Do mnie wszyscy natychmiast! — zawołał jak lew zraniony, a w tej chwili garstka stała koło niego. — Do drzwi zamkowych! — wrzasnął drugi raz i wszyscy wpadli do sieni, którą mocno zatarasowali.

Była to już piąta godzina walki. Niemcy zziajani przypadli do drzwi, ale na ich pchnięcia tylko głuchy odgłos odpowiadał z sieni.

Tymczasem garstka Pomorzan już stanęła u okien z łukami, które pozrywali z ścian komnaty książęcej; kilka strzelb przywlókł stary Dargosław ze zbrojowni.— Strzelać! — wrzasnął Ramota, i z pięciu okien wyleciały strzały, po których trzech napastników padło o ziemię. Wszczął się popłoch między nimi. Jeden, oczywiście dowódzca, pomruczał coś, i kilkoro przypadło do szopy, a cztery łuki wypięli do okien. Tomek, któregośmy widzieli z Piotrem u Szkota, spojrzał bokiem z za muru i trwożliwie zawołał: — Ramoto, wykurzą nas ogniem. Zrywają tarcice z szopy i zbierają barłóg, suną się pod murem, żeby strzały ich nie sięgły. O nieszczęśliwa godzino! —

W tem warknęła u dołu cięciwa, a przy głowie Tomka świsnęła strzała, uderzająca w strop komnaty.

— Nie źle mi chciał sprawić, — zawołał, — trzeba mu oddać, — i mierząc okiem wychylił się; w moment zabrzękł stalowy łuk książęcy, a na dziedzińcu padł długi najemnik. Ale krótka radość. W tej samej chwili rozwidnił się dziedziniec, a gęstym dy

uderzył pod okna; w chwili zgęstniało powietrze w komnacie, Pomorzanom już brakło tchu. — Zginęliśmy — zawołał Ramota — zejdźmy do sieni, do której się będą dobijali, i okupmy śmierć jak najdrożej. —

Wszyscy schodzili, jednemu Tomkowi nie było spieszno. Jeszcze raz przysunął się do okna i radosny uśmiech powlekł się po zbolałem obliczu.

— Jest mój Szkot, któregom w prostoduszności wczoraj nie dopilnował, boć on a Piotr zdrajca sprawili nam to nieszczęście, — rzekł do siebie. — Stoi blizko, odsłonił kołpaka, widać to rycerz krzyżacki; zgiń podstępna gadzino, — zawołał w złości, i ostatnia strzała świsnęła z okna. Rycerz padł o ziemię z przeszytem gardłem, krew strzyknęła i ostatnie jęki wydobyły się z ciała.

— Już on nie będzie sukna sprzedawał, — mruknął ukontentowany Tomek i opuścił komnatę, w której już ledwie mógł odetchnąć dla smrodliwego dymu. W sieni stali ostatni obrońcy Sartawic, zmęczeni i zwątpiali. Co chwila uderzała ciężka belka o podwoje. Nakoniec skruszyły się drzwi, zawiasy pękły i podwoje runęły z łoskotem do sieni.

Ramocie zakręciła się łza w oku. — Westchnijcie do Boga mężowie, rzekł, i oddajcie duszę Ojcu Niebieskiemu, ostatnia chwila się zbliżyła. Krzyżacy przywołali zasadzkę od rzeki, są daleko liczniejsi. Umierajmy walcząc. — I przypadł do pierwszego wkraczającego do domu książącego. Zaczęła się walka ostatnia, rozpaczliwa, śród której klątwy, jęki i okrzyki radości w strasznem złączeniu odbijały się o sklepienia starożytnego domu. A na dziedzińcu dogorywały tarcice, których łuna bledniała w brzasku nowego dnia, wiastującego się ludziom gdzieś daleko u krawędzi nieba.

Porzućmy już walczących, bo któż zdoła opisać zapasy rozpaczy i zaciętości. Obejrzymy się za Dargosławem.

Gdy Pomorzanie przed dymem opuścili komnaty górne, przysunął się Dargosław do Ramoty i boleśnie spojrzał w twarz jego.

— Idziesz na śmierć, — powiedział. — I ja wolałbym tu paść, jak przeżyć ciebie, Ramoto, i może stanąć przed naszym księciem. A jednak będę się starał, ocalić niknące już życie, bo może unieść zdołam skarb naszego zamku, głowę św. Barbary. Zostań z Bogiem! Do zobaczenia w wieczności. —

I stary klucznik odwrócił się prędko w drugą stronę ganku i wpadł do pokojów wojewodziny, która na pierwszy głos trwogi się była podniosła i nie mogąc z bronią pomagać, w rozpaczy i udrętwieniu szukała ulgi i pomocy w modlitwie.

— Miłościwa pani, chcecie ocalić życie, prędko za mną, tajnym gankiem ujdziecie. Ja się zatrzymam jeszcze.

Uciec miałabym, kiedy zamek już w ręku nieprzyjaciół; głowę mej patronki zostawić im? wolę tu umrzeć, — odpowiedziała Strzeżysława podnosząca się z klęcznika, z owem lekceważeniem życia, które tylko pod nawałem nieszczęść wyrobić się może. Biedna przeżyła w sześciu godzinach tyle męczarń serca, że doczesność już wszystką dla niej wartość straciła.

— Ale gdybyście mogli świętość ze mną ocalić? Pójdźcie pani, wyniesiem świętą głowę!

Strzeżysława nie dowierzała, jednak na myśl o św. Barbarze zerwała się i zarzuciwszy chustkę prędko zdążała za Dargosławem. Z komnaty przyległej spuścili się obaj wązkiemi krętemi schodami nadół i niebawem stanęli w kaplicy św. Barbary.

— Teraz, — mówił Dargosław, — do pracy Drzwi do kaplicy mocno są zamknięte. W sieni jeszcze Ramota się trzyma.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Miejsce urodzenia Abrahama.

Z biblji wiadomo, że Abraham ze swoją rodziną pociągnął na północ, a potem na zachód od rzeki Phrat w stepy syryjskie. Potem wrócił się na południe biegu rzeki Jordanu, przybył do Egiptu i tam wędrował tu i tam. Pochodził on zaś z okolicy, której imię było Ur. Najnowsze odkrycia archeologiczne wykazały, że miejsce urodzenia Abrahama było już przed 5500 laty siedzibą wysokiej kultury. Świadczą o tem zabytki, które wystawione obecnie zostały na widok publiczny w londyńskiem British Museum. Widzimy tam mapy tego miasta Ur z jego licznemi ulicami, oraz głównemi zarysami niektórych budynków. Widzimy wielką świątynię księżyca oraz dom taki, jaki prawdopodobnie zamieszkiwał Abraham, starannie odtworzony.

Kierownik wyprawy archeologicznej Woolley im głębiej kopał, tem ciekawsze rzeczy wydobywał na jaw, świadczące o prastarej kulturze z sumeryjskiego okresu. Silne wrażenie wywiera wspaniały zbiór cylindrycznych pieczęci z lapis lazuli i innych odmian kamieni, na których to pieczęciach widnieją sumeryjskie napisy oraz różnego rodzaju mitologiczne sceny i postacie bardzo subtelnie i z wielkim naturalizmem wykonane. Widzimy tam złoty koral w postaci owocu a na nim papugę a wszystko to w miniaturowych (maleńkich) rozmiarach a jednak jaknajdokładniej wykonane w najmniejszym szczególe.

Niezmiernie ciekawe są kamienie, na których Abraham i inne dzieci jego czasu uczyły się rachunków. Po jednej stronie widzimy pismo nauczyciela, po drugiej bazgroty ucznia. I to na 2000 lat przed Chrystusem! Dzieci grały wówczas też w jakąś grę, przypominającą warcaby; świadczy o tem piękna szachownica o czerwonych, białych i błękitnych polach.

W czasie prac nad odkopywaniem miasta Ur, w tym samym grobie sumeryjskim, z którego wydobyto kunsztownie wykonany złoty sztylet, wykryto również niepozorne brunatne kawałki, które okazały się żelazem. Stwierdzono zatem, że okres kultury żelaznej nad Eufratem jest o 2000 laf starszym, aniżeli pierwotnie przypuszczano.

To tak wysoce cywilizowane i artystyczne miasto opuścił Abraham z całą swoją rodziną, udając się w dalekie nieznane ciemne puszcze. Patrjarcha musiał widocznie mieć jakieś bardzo ważne powody, które go skłoniły do porzucenia kulturalnego środowiska i walki uciążliwej o nowy byt na obczyźnie.

Dobre i złe słowa.

W przypowieściach Salomona, pełnych głębokiej mądrości i wzniosłej myśli, znajdujemy następujące piękne porównanie:

„Dobre słowo jest jakoby złote jabłko na srebrnej misie". Znaczy to zapewne, że dobre słowo jest czemś pięknem i kosztownem.

Dobre słowo! o gdyby wszyscy zrozumieli co to znaczy!

Dobre słowo, to niekiedy słowo miłości, słowo czułe i słodkie, ale i słowo rozumne, cierpliwe, wyrozumiałe, słowo przebaczenia i pokoju.

Skąd powstają kłótnie i niezgody w rodzinie? Oto ze złych słów, które padają jak iskry na zapalne serca i wzniecają pożar nienawiści i zemsty.

Dobre słowo w stosownej chwili wymówione, zażegnałoby ten pożar i stłumiło w samym początku. Złe zaś słowo rozdmuchało tlejącą iskrę w silny płomień.

Są słowa zimne i twarde, jak kamienie, to znów ostre, jak miecz, słowa gorzkie, jak piołun, brzydkie i wstrętne, zbrodnicze i obłudne, na wzór owych słów Judasza, któremi zdradził Mistrza swego i Pana.

Matki, miejcie dla dzieci waszych zawsze dobre słowo — słowo zachęty, dobrej rady, łagodnego napomnienia, które powstrzyma je od złego, do dobrego nakłoni.

Matka, mająca zawsze dla dziecka dobre słowo, trzyma niejako duszę jego w swem ręku. Choć ta młoda dusza płocha, niby motyl, odleci na kwiaty rozkoszy, choć ją uniesie wicher światowych wrażeń — powróci znów do ciebie, gdy ją dobrem słowem przywołasz.

Są żony i mężowie, którzy mają dla siebie tylko słowa nagany, gniewu, zniechęcenia. Stępiała więc i skamieniała dusza dziecka znieczuloną została na dobre wpływy.

Są żony i mężowie, którzy mają dla siebie tylko słowa zimne i twarde, jak lód. Ach, jedno dobre słowo, a roztopiłaby się lodowa powłoka ich serc, jak śnieg w promieniach kwietniowego słońca. Jedno dobre słowo rzuciłoby most nad przepaścią, dzielącą ich duszę, — i nawiązałoby zerwane więzy miłości stargane jednem słowem zimnem, niedobrem.

Kobiety, które tak często grzeszycie mową, nie rzucajcie bliźniemu owych złych słów, które, jak zatrute strzały, ranią śmiertelnie duszę jego, lub zabijają dobre imię. Jak strzała wypuszczona z łuku, tak owo złe słowo leci niepowstrzymanym biegiem, niosąc drugim przykrość i zgryzotę.

Dlaczego misje katolickie w Chinach czynią większe postępy, niż misje protestanckie.

W książce Tang Leang-Li p. t. „Z chaosu chińskiego" czytamy co następuje:

Katolicyzm nie wtrąca się w życie społeczne ludu chińskiego. Misjonarz katolicki pozwala Chińczykowi na cześć przodków i związane z nim obyczaje, nie sprzeciwiające się religji, uważając to za sprawę czysto świecką, nie religijną, podczas gdy protestantyzm, jak to ogłoszono na misjonarskiej konferencji protestanckiej w Szanghaju w r. 1891 żąda bezwzględnie od Chińczyków wyboru „pomiędzy Chrystusem, a przodkami". Katolicyzm, mając na celu najwyższe prawdy, nie tępi dawnych zwyczajów, nie opiera się o drobiazgi, nie tępi dawnych zwyczajów, a przeciwnie, mając na względzie chińskie warunki życia i chińskie obyczaje, stara tchnąć w stare formy nowego ducha i nowy sens. Chce on tylko ratować dusze Chińczyków, a nie wymaga by Chińczyk prowadził zachodnio-europejski tryb życia". — a tembardziej nie nastaje, by miał nosić ubranie z angielskiego perkalu, lub palić naftę Standard Oil Co. Pozatem katolicka zakonnica lub katolicki misjonarz prowadzi życie z reguły bardzo skromne, pełne samozaparcia. Na życie ma on bowiem przeznaczoną skromną sumę 20 do 50 funtów. Samo to przyczyniać się może do zapewnienia katolickim osadom misyjnym znacznego wpływu. Protestant tymczasem, ogólnie biorąc, traktuje swe misjonarskie powołanie przedewszystkiem ze względu na związane z niem materjalne i socjalne zyski. Mając pensję, wahającą się w granicach 150 do 300 funtów, protestancki misjonarz, który w swym kraju nie mógłby zbyt wysoko zaawansować, pędzi tu w Chinach, gdzie koszty utrzymania są znacznie niższe, żywot patrycjusza. Podczas gdy katolicki kapłan pracuje rok cały, uważając swą misyjną działalność za najwyższe swe posłannictwo, misjonarz protestancki domaga się dwu — trzymiesięcznych ferji letnich oraz rocznego urlopu na wyjazd do kraju po 5 | 6-ciu latach swej pracy.

Gdy się to wszystko weźmie pod uwagę, nie będzie niespodzianką fakt, że protestantyzm w Chinach czyni bardzo małe postępy. Rezultatem stuletniej pracy protestantów w Chinach nad nawracaniem Chińczyków, pochłaniającem setki miljony funtów, jest zaledwie 400 000 konwertystów, gdy liczba nawróconych na katolicyzm Chińczyków sięga 2 i pół miljona.

Uwagi te potwierdza wiadomość z Chicago, że na liczbę 6000 protestanckich misjonarzy od stycznia rb., wskutek panujących w Chinach zaburzeń, powróciło do kraju około 80 proc.

Protestantyzm amerykański traci wyznawców.

Dr. Carell z Plainfield N. J., sekretarz komitetu „Interchurch-Conrence" konstatuje z bólem, że w 13 gminach (okręgach) wyznaniowych, liczących 15 miljonów członków, straty odstępców wynoszą 268065 osób. Nie licząc innych, nie objętych jego statystyką okręgów, można przyjąć, że na 29 miljonów protestantów w Stanach Zjednoczonych odstępuje rocznie od protestantyzmu około pół miljona osób.

I tak, podana statystyka wylicza:

Kongregacjonistów rocznie odstępuje 30000, metodystów od 1913 do 1926 r. odstąpiło 6.406.000, baptystów — bardzo znaczna ilość, luteranów od 1919 do 1924 r. — średnio 9354 na rok, podobnie ejskopalnych, reformowanych itp. Powody tych odstępstw upatrywane są w niedbalstwie pastorów, zajętych głównie sprawami materjalnemi.

Nietyle jednak należałoby „pasterzy" tych nazywać niedbałymi, ile raczej fałszywymi, gdyż jako tacy nie mogą dać nic pozytywnego swym wyznawcom, negacja zaś nikomu już dziś nie wystarcza i nie imponuje.

redaktor odpowiedzialny: Łucjan Kosidowski w Chojnicach. — Drukiem i nakładem drukarni „Dziennika Pomorskiego" w Chojnicach.